

Zapiski T. Gumińskiego - 13-19.07.1967

Piątek, 14 lipca 1967 r.

Remont Muzeum zupełnie ustał. Nie została zakończona wymiana stropu nad II piętrem. Niemal w każdym pomieszczeniu są różne nedoróbki. Nie sposób zagospodarować którekolwiek z nich.

Niespodziewanie otrzymałem propozycję PTTK wyjazdu w charakterze pilota z wycieczką rzemieślników legnickich na Pomorze Szczecińskie na okres 6 dni. Przyjąłem. Zachęcił mnie także charakter wypoczynkowy wycieczki z perspektywą zarobienia ok. 500 zł.

Sobota, 15 lipca 1967 r.

O godz. 7- ej rano wyruszyłem wraz z wycieczką autobusem do Szczecina. Wśród uczestników przewaga pań. Jest też kilkoro dzieci w wieku właściwym szkole podstawowej. Ok. godz. 14 nie zwiedzając niczego po drodze dotarliśmy do Szczecina.

Obiad jedliśmy w restauracji „Delfin”, a także kolację. Do herbaty brakowało cytryny, o musztardę do szynki trzeba się było upominać. Szklanki z herbatą podawano bez spodków. W godzinach popołudniowych odbyliśmy przejażdżkę po mieście. Oglądaliśmy kąpielisko nad jeziorkiem wśród lasu, piękny basen kąpielowy i stadion wybudowany już po wojnie. Nie podzielałem wszelkich zamysłów nad Szczecinem. Miasto pozbawione jest dzielnicy zabytkowej. Pomników sztuki i architektury jest tutaj bardzo niewiele. Zabudowa ulic bardzo banalna. Nowe budownictwo niczym nie odbiega od powszechnego szablonu.

Niedziela, 16 lipca 1967 r.

Poważna liczba uczestników wycieczki ciekawa była nocnego życia w Szczecinie. Odwiedziliśmy więc restaurację „Atlantycką”. Gości zagranicznych szukać tam trzeba było ze świecą. Na ulicach też nie spotkaliśmy się z obcą mową.

W godzinach przedpołudniowych odbyliśmy dwugodzinną przejażdżkę statkiem po porcie podziwiając jego rozległość. Pogoda w międzyczasie zepsuła się. Ograniczyliśmy więc do minimum poruszanie się po mieście. Zwiedziliśmy zamek, któremu po odbudowie nadano świetność, jakiej nigdy chyba nie posiadał. Posadzki, schody marmurowe.

Po raz pierwszy zwiedziłem Muzeum Pomorza Zachodniego, to jest działy: archeologiczny, przyrodniczy, marynistyczny i afrykanistyczny. Sale wystawowe ogromne, ekspozycja bardzo nowoczesna. Najbardziej tradycyjnym przedstawia się tylko Dział przyrodniczy. Ruch zwiedzających duży.

Poniedziałek, 17 lipca 1967 r.

W godzinach przedpołudniowych zwiedziliśmy stocznnię szczecińską. Obiekt ten jest udostępniony turystom. Przewodników dostarcza zakładowe koło PTTK spośród pracowników stoczni. Jak mnie poinformowano w r. ub. było ok. 10 tys. zwiedzających.

Wędrówka po terenie stoczni zajęła nam dwie godziny czasu. najnowocześniejsze maszyny i urządzenia, jakie nam pokazywano nie pochodziły jednak z tzw. krajów socjalistycznych, a właśnie kapitalistycznych. Najwięcej podziwu wzbudziło urządzenie do tzw. trasowania połączone z jednoczesnym wycinaniem palnikiem acetylenowym odpowiednich otworów w blasze stalowej przeznaczonej do budowy kadłubów statków.

O g. 16 m. 30 wsiedliśmy na statek, aby popłynąć do Świnoujścia. Miejsca zamówione były na wodolot, który przebywa tę drogę w ciągu godziny. Niestety, jak nas objaśniono, po jednym kursie trzeba go było wycofać z eksploatacji. Statkiem płynęliśmy więc 3 godz. i 15 min. Czas się nie dłużył. Podróż urozmaicano sobie

alkoholem. Chociaż mam wstręt do wódki, nie mogłem się uchylić od poczęstunku. Siedzieliśmy na otwartym pokładzie na rufie statku. Przez całą drogę towarzyszyło nam stadko mew zapowiadając bliskość morza. Wszystko tu było dla mnie nowością. Podziwiałem po drodze na lewym brzegu Odry kombinat przemysłowy: hutę żelaza, fabryki celulozy i nawozów fosforowych w Palicach na tle wzgórza porośniętego lasem.

Wtorek, 18 lipca 1967 r.

Na śniadanie udaliśmy się do Międzyzdrojów. Obiad i kolację jedliśmy w Świnoujściu w restauracji „Słowianin”, położonej na krańcu miasta. Część uczestników wycieczki udała się bezpośrednio na plażę. Z większością odbyłem dwugodzinną przejażdżkę statkiem po morzu. Większość po raz pierwszy przeżyła taką przyjemność. Na szczęście morze było spokojne.

Czas po obiedzie spędzili wszyscy na plaży. Wiał dość silny wiatr. Morze stawało się coraz bardziej wzburzone. Plaża w Świnoujściu jest ogromna, piaszczysta, a nie tak przeludniona jak w Sopocie, czy Jelitkowie. Raczyłem się więc kąpielą po raz pierwszy zresztą w r. b.

Środa, 19 lipca 1967 r.

Cały dzień spędziliśmy w Międzyzdrojach.

Same miasteczko prezentuje się dość skromnie. Dużo tutaj wczasowiczów. Z gości zagranicznych spotkałem Czechów i Szwedów. Plaża ogromna. Jest także niewielkie moło spacerowe, do którego dobudowano po r. 1945 jedno skrzydło, do którego dobijają statki pasażerskie. Pogoda była piękna, słoneczna, morze spokojne.

Przy kolacji jedna z uczestniczek wycieczki zwróciła się do mnie ze skargą na męża swego, który ją kopał (tak!) pod stołem. Prosiła abym wezwał milicjanta. Radziłem jej zmienienie miejsca. Nie uczyniła tego i znów zwróciła się ze skargą. Oświadczyłem, że skoro nie zastosowała się do mojej rady, nie widzę potrzeby sprowadzania milicjanta i wtrącanie się w stosunki między małżonkami. Mogłem się przecież znaleźć w sytuacji, że odmówi zeznań.

Dalszy ciąg tej historii rozegrał się w autobusie. Agresywny małżonek spoliczkował żonę. Tego już było za dużo uczestnikom wycieczki. W obronie maltretowanej wystąpiły kobiety. Mężczyźni chcieli pijaka wyrzucić po prostu z autobusu we wsi Lubinie, gdzie projektowano urządzić pożegnalną zabawę. Zapobiegłem temu.

Po przybyciu na kwatery do Łanowa pan małżonek nie zaprzestał maltretowania żony urządzając prawdziwe widowisko. Upadł projekt zabawy. Uradzono wezwać M.O., cóż kiedy najbliższy posterunek był dopiero w Międzyzdrojach. Mieszkańcy wsi zapewniali mnie, że nie ma mowy, aby ktoś z milicjantów mógł przyjechać. Był projekt związania pijaka i zostawienia go na noc w komórce z dala od ludzi. Uważałem to za ryzykowne.

Wreszcie obiecała czynnie interweniować grupa miejscowych chłopców w wieku lat 18-20 jeżeli awanturnik się nie uspokoi. Ostrzegłem tylko, aby nie bili żadnym narzędziem. Tak się też stało. Kiedy moi przypadkowi pomocnicy dojrżeli przez okno, że kochający małżonek schwytał żonę za włosy i znęca się nad nią, wpadli do izby i boksowali go. Wyjazd po milicję był niemożliwy, ponieważ kierowca naszego autobusu też uraczony został wódką. Nasza przewodniczka brała groźby pijaka, że do rana zatłucze żonę, a nawet poderżnie gardło nocującej w tym domu pani bardzo poważnie. Podobnie i inne kobiety. Byłem w rozterce, co robić. Ale uznałem, że ten kto dużo mówi groźby na pewno nie spełni.